

O jednym takim, co poleciał na Księżyc

Na tyle dziwny, co intrygujący tytuł książki autora, znanego już dobrze czytelnikom z wypraw w światy znane i nieznanne, sprawia, że po raz kolejny czujemy się zaproszeni do penetracji dziejów Śląska poprzez niezwykle historie. Pojawiająca się w jej tytule *Jak Johannes Kepler, jadąc do Żagania na Śląsku, zahaczył o Księżyc* postać przenosi nas w krainę siedemnastowiecznej astronomii, w której utrwałała się heliocentryczna koncepcja kosmosu, a nowa optyka fascynowała kolejnych badaczy nieba. Miłośników prozy Wańka interesować będzie głównie literackie wykorzystanie znanych z biografii Keplera wątków. Ten twórca mechaniki niebieskiej spędził w Żaganiu ostatni okres swojego życia, tam też napisał *Somnium seu astronomia lunaria (Sen, czyli dzieło poświęcone astronomii księżycowej)* wydane już po śmierci autora przez jego zięcia (o tym fakcie, podobnie jak o polskim przekładzie dzieła, wspomina Waniek na końcu powieści¹).

Sen, noszący z jednej strony znamiona traktatu naukowego a z drugiej opowieści science fiction, to relacja z wymagowanej, bo odbytej za sprawą demonów podczas snu, podróży na Księżyc, wzbogacona opisem kosmicznego krajobrazu i Ziemi widzianej ze Srebrnego Globu. O sile oddziaływania tej literatury na ówczesnych niech świadczy fakt, że matka astronoma, Fiolxhilda, która we *Śnie* występuje jako islandzka czarownica, oskarżona została o czary i następnie uwięziona, a stało się tak za sprawą jednej z rękopiśmiennych kopii traktatu, która dostała się w ręce niepowołanych czytelników. Co prawda Kepler zrobił wszystko, aby uniknęła tortur i została uwolniona, ale mimo to po roku zmarła. Ponoć to właśnie wtedy ten badacz nieba przeklął astrologię, którą tak hołubił, ponieważ nie ostrzegła go w porę o grożącym niebezpieczeństwie (jak później to zinterpretowano, cała sprawa była efektem oddziaływania Urana, który wówczas nie był jeszcze odkryty). W powieści Wańka matka Keplera przywołana została dwukrotnie (s. 141, 159).

Tyle kontekst. Co znajdujemy w samej książce? Polifoniczną narrację, poprzez którą w jedenastu rozdziałach poznajemy niezwykłą historię Wenczeslusa Hynka Panwicza z Ponzg i Rathen, natus silesius, który ukończywszy szkołę parafialną dominikanów przy Świętym Krzyżu w Świdnicy, po licznych perturbacjach zyskuje na uniwersytecie w Grazu tytuł bakałarza, po czym uwalniając się od wątpliwej kurateli wuja naciągacza (pobiera od ojca Hynka wydumane opłaty za utrzymanie siostrzeńca) zamierza uzupełnić brakującą

¹ J. Kepler, *Sen, czyli wydane pośmiertnie dzieło poświęcone astronomii księżycowej*, przeł. D. Sutkowska i J. Włodarczyk, Warszawa 2004.

wiedzę w okolicznych szynkach. Beztrzęsą przerywa krwawy incydent w gospodzie, po którym nasz bohater ucieka do Linzu pod opiekę magistra Bema. Wędrownik Hynka owocuje przedziwnymi spotkaniami, między innymi z Pawlikiem (później występującego również pod imieniem Rybka), adeptem wędrownej akademii snu, pchającym jarmarczny wózek w towarzystwie niemniej kuriozalnej kreatury, niejakiego Gregora Baltezera z Litomierzyc, krępego Karła pretendującego do miana rektora owej akademii, który swego kościstego i znacznie wyższego towarzysza traktuje niczym niewolnika, jeśli nie jak zwierzę pociągowe. Obie postaci są tyleż komiczne, co tajemnicze.

W opisie ich perypetii miesza się tu typowa dla powieści łotrzykowskiej rubasność sytuacji i języka z elementami fantastyki. Ta część powieści nieodparcie przywołuje na myśl konwencję *Kubusia Fatalisty i jego pana* Diderota. Groteskowa dysputa między bohaterami dotyczy podstaw filozoficznych rzeczonych akademii snów wywiedzionych z nauk Paracelsusa, a przerywana jest na przykład nagłą potrzebą fizjologiczną Hynka, którego można nazwać Łazikiem ze Śląska, czy absurdalnymi zachowaniami Pawlika (np. spasa okoliczne mlecze i osty). Orientujemy się, że mimo podłego traktowania ze strony rektora, posiada on niebiańskie korzenie (wszystko wskazuje na to, że jest aniołem stróżem zesłanym na ziemię) oraz niebagatelną wiedzę na temat snów, wywiedzioną z nauk wcześniejszych filozofów (Cycerona, Artemidora z Efezu) skompilowanych przez Ambrosiusa Theodosiusa Makrobiusa, rzymskiego badacza snów z przełomu III i IV wieku.

Mądrościom swym daje upust w czasie przeprowadzonego *ad hoc* egzaminu na dyplomowanego parobka. Wcześniej jeszcze zaskakuje Hynka śląską mową, w której opowiada dzieje biblijnego Jakuba. Czyżby anioł rodem ze Śląska? Zakamuflowany Angelus Silesius? Absurdalność sytuacji potęguje fakt, że w czasie kuriozalnej debaty Baltezer próbuje za wszelką cenę sprzedać niezwykłego Pawlika na służbę Hynkowi. W końcu rektor odchodzi ze skradzionym temu ostatniemu dyplomem licencjata za pazuchą, pozostawiając mu nieszczęsnego adepta akademii snów. Wkrótce zresztą, niesłusznie posądzony o ograbienie i zabicie swego parobka, umiera w ratuszowej piwnicy pobliskiego miasteczka na skutek zadanych mu podczas przesłuchania ran. Żegna się ze światem jako Hynko Panwicz, gdyż dokument na takie nazwisko przy nim znaleziono.

Kolejny rozdział pod znaczącym tytułem *Noc* przynosi zmianę narracji z pierwszo- na trzecioosobową. Stopniowo orientujemy się, że oto stoimy pośrodku wizji sennej Hynka i razem z nim gwałtownie budzimy się do rzeczywistości. A rzeczywistość wokół ma znamiona dolnośląskiej topografii z wyraźnym wskazaniem na Kotlinę Kłodzką. Pojawiają się znane nazwy - jak Hradek (dzisiejszy Radków), Lewin, a do bram zamczyska w Ratnie dobijają się

nieznani przybysze, których wiarygodność przypięczętować ma obecność miejscowego sołtysa. Panwicz broni się przed ich natręctwem bezskuteczną próbą powrotu w sen, ale ten w swej batalistycznej grozie (nawiązanie do znanych z historii mniej lub bardziej skutecznych prób zniszczenia zamku w Ratnie w okresie wojny trzydziestoletniej) nie daje oczekiwanego wytchnienia. Nie pozostaje mu nic innego jak stanąć twarzą w twarz z nieznanym, które czai się za progiem. Przed tą konfrontacją wznosi jeszcze modły do swego bóstwa opiekuńczego, którym jest nie kto inny niż Hermes, postać nieustannie migrująca w różnych wcieleniach przez powieści i eseje Wańka.

Zanim jednak brama zostanie otwarta, wchodzimy w świat Hynka z jeszcze innej perspektywy narracyjnej. Tym razem opowieść w rozdziale *Przybysze* snuje przedstawiciel nielicznego grona przydomowej służby, określający siebie mianem półfilozofa. Z jego relacji dowiadujemy się o grubiańskiej i niegościnniej naturze pana na zamku w Ratnie, który gada z duszami „wykolejonych filozofów i herezjarchów” (s.171), obraca się w towarzystwie innych podejrzanych istot, biorących się „chyba z powietrza” (s. 78). Z nimi to wiedzie zajadłe spory w zamkowej wieży, do której nikt inny nie ma dostępu oraz pisze podejrzane dzieło z zakresu angelologii. Zdezorientowanej służbie z czasem nie pozostaje nic innego niż czynnie uczestniczyć w rojeniach swego pana, otaczając opieką wyimaginowanych gości, spożywając m.in. przygotowane dla nich posiłki, zwłaszcza że ich samych pan pod tym względem nie rozpieszcza. W końcu jednak u wrót zamkowych staje „skrzypiący wehikuł” i docierają realni przybysze.

I tym to właśnie sposobem, mniej więcej w jednej trzeciej objętości powieści, na scenę wkracza niepozorny Johannes Kepler ze swoją świtą, który *de facto* nie jest tutaj protagonistą. Szczerze powiedziawszy, już trochę zwątpiliśmy, czy kiedykolwiek się pojawi, pomimo obiecującej zapowiedzi w tytule, gdy oto nieoczekiwanie, niczym *deus ex machina*, raczy nas swoją obecnością, „jakby już wcześniej obmyślił coś chytrego i tylko czekał na sposobność” (s. 81). Na cud zakrawa również fakt, że na koniec zostaje do zamku wpuszczony przez tak niegościnnego i skąpego gospodarza. Wyraźna zdaje się być tutaj ingerencja osób trzecich, które okoliczności te zaaranżowały i nieoczekiwany rozwój akcji umożliwiły. A kiedy dzieją się rzeczy tak niezwykle, podejrzewamy udział sił nadprzyrodzonych. One to istotnie wpłyną na dalszy ciąg wydarzeń, a oniriada głównego bohatera powieści Hynka, dopiero zacznie się na dobre.

Dzięki zmieniającej się narracji w kolejnych rozdziałach, obok relacji odautorskiej słyszymy bowiem opowieści bohaterów, w tym samego Keplera, poznajemy te same wydarzenia z różnych punktów widzenia. Również rozmowy postaci z planu fantastycznego

(anielskie sprawozdania z aktywności swoich podopiecznych) nie są tylko cczą gadaniną, ale znacząco łącają dziury w toku akcji. Zestawiając różne relacje, dowiadujemy się w końcu, jakim to sposobem Johannes Kepler jadąc do Żagania na Śląsku trafił do Ratna i dlaczego miałby po drodze zahaczyć o Księżyc. Prawda obiektywna w świecie przedstawionym nie istnieje, ulega rozproszeniu na dopełniające się wielogłosy. Zresztą cienka granica między jawą a snem też nie daje nam pewności, czy to wszystko wydarza się naprawdę.

Nadzieję wnoszą słowa Keplera w przedostatnim rozdziale kierowane do nas po śmierci, w których zapewnia, że jego podróż na Księżyc wydarzyła się naprawdę, a jego napisane w Żaganiu dzieło jest wiarygodne. Zasadnicza różnica między oryginalnym dziełem Keplera a prozą Wańka polega na tym, że podczas gdy u pierwszego z nich tej międzyplanetarnej podróży sprzyjać będą siły piekielne, u drugiego będzie to możliwe dzięki anielskim intrygom. W opinii astronoma niedomówienia wzięły się z nadgorliwości wydawców, którzy działali już po jego śmierci. Wyjaśnia, że mityczna Islandia, z której wyrusza w podróż kosmiczną „to tylko anagram Silandii” (s. 230), to jest inaczej nazwanej Silesii. Na koniec również czas nabiera przyspieszenia w spiralnym ruchu w przestrzeni świata. Nakładają się perspektywy - przeszłość miesza się z teraźniejszością i przyszłością. Kalejdoskop zdarzeń przetacza się pośpiesznie, bo czas już kończyć tę mocno zagmatwaną opowieść.

Książka Wańka przypomina zabawną nieco powiastkę filozoficzną. Jest to opowieść o potrzebie cudu w świecie nauki opierającej się na liczbach i kalkulacjach. Anielski spisek ma na celu uwiarygodnienie dzieła Keplera relacją z rzeczywistej a nie wydumanej podróży na Księżyc. Pozostaje pytanie, jak lustro zanurzone w górskim potoku, do którego wstępuje ten niebieski geometra w towarzystwie Hynka, sprawia, że za chwilę dotyka rzeczywistej powierzchni satelity Ziemi. Z perspektywy niebiańskiego planu, będącego załączkiem anielskiej intrygi w powieści, cud mniemany miałby nam wystarczyć. Kepler w utworze odsyła chcących poznać szczegóły do dzieła *Somnium Ioannis Kepleris seu astronomia lunaria*, a sam autor zdobywa się na jeden z nielicznych przyjaznych gestów wobec czytelnika, opatrując wzmiankę bohatera przypisem z odsyłaczem do polskiego przekładu tego dzieła.

Waniek nie rozpieszcza bowiem swoich odbiorców. Jeśli nie znają języków, w tym martwych, to będą mieć problem z rozszyfrowaniem długich niekiedy fragmentów tekstu. Łacinę traktuje jako mowę powszechnie znaną w kręgach uczonych w piśmie, biorąc tę oczywistość jako element kreowanego przez siebie półświatka siedemnastowiecznych mądrali (że Kepler jest filozofem całą gębą nie mamy wątpliwości, co się tyczy Hynka stosowniejsze

byłoby określenie półfilozof, półinteligent, czy może nawet półgłówek). Wszystko to sprawia, że lektura powieści staje się nie tyle porywająca, co wymagająca. Między wierszami, niekiedy zniecka, natrafiamy na ciekawe tropy (bogata literatura starożytna i późniejsza z zakresu ówczesnej *somnologii*), małe epifanie ([jawa] „O tyle gorsza od snu, że nie ma już przed nią ucieczki w żadne przebudzenie“ (s. 69), co pobrzmiwa czytelnikowi znajomo, po gombrowiczowsku).

Jeśli brakuje nam cierpliwości, przechodzimy wobec tych perełek obojętnie, udając, że nic się nie stało, podążając za trywialnością beknięć i pierdnięć na jakie bezpardonowo pozwalają sobie w przebiegu akcji nobliwe postaci. Bohaterowie, w tym szczególnie Kepler, przemycają znane nam skądinąd prawdy o wszechświecie z wyraźnym trudem, napotykając na tępotę potencjalnych powieściowych odbiorców (vide Hynek). *Nihil novi sub sole!* – jak wykrzyknąłby Waniek żywym językiem swojej powieści. Tak było zawsze, gdyż natura i głupota ludzka jest niezmienna.

Dla osób zainteresowanych tematyką Śląska czy polsko-czeskiego pogranicza niewątpliwą zaletą jest topografia opowieści. Po stronie czeskiej pojawiają się takie miejscowości jak Ołomuniec, Pardubice, Jaromierz czy chociażby leżący obecnie tuż przy polskiej granicy Broumov, o Pradze już nie wspominając. Docenić trzeba również próbę wywołania literackiego zamieszania wokół interesującego, ale niestety chylącego się ku upadkowi, zabytku, jakim jest zamek w Ratnie, niedaleko Wambierzyc zwanych Śląskim Jeruzalem (to cudami słynące miejsce również znalazło swoje odzwierciedlenie w opowieści). Waniek przywołuje legendę Ratna jako pechowego miejsca (s. 93). Wydaje się, że literatura mogłaby tu wiele zdziałać, a powieściowe zainteresowanie Keplera istniejącą do dzisiaj wieżą jako potencjalnym obserwatorium planetarnym jest nietuzinkowym pomysłem na stworzenie nowej mitologii lokalnej. Póki co, jedynie nakłady na ewentualną odbudowę obiektu wydają się astronomiczne...

Zresztą Waniek nie jest jedynym pisarzem, który w swej twórczości penetruje te przygraniczne rejony. Przypomnijmy chociażby opowiadanie Olgi Tokarczuk *Zdobycie Jerozolimy. Raten 1675*, z tomu *Gra na wielu bębenkach*, rozgrywające się na zamku w Ratnie w okresie jego odbudowy po wojennych zawieruchach nękających okolicę w siedemnastym wieku. W opowiadaniu Tokarczuk nowego właściciela zamku niejakiego von Kynasta zastajemy przy realizacji fantastycznego planu zbudowania nieopodal zamku drugiej Jerozolimy z wykorzystaniem walorów miejscowego pejzażu. Przygotowuje również monumentalną inscenizację zdobycia Jerozolimy przez krzyżowców z udziałem chłopów z

okolicznych wsi (pojawiają się liczne niemieckie nazwy własne, np. *Raten*, *Rathenaw*, *Stenau*, *Albendorf*, *Seiferdorf*, w których rozpoznać można dzisiejsze miejscowości).

W okolicach czeskiego Broumova, więc nie tak daleko od Ratna, rozgrywają się także dzieje świętej Kummernis z Schonau (dzisiejszy Šonov), zwanej Wilgefotis (ukrzyżowana kobieta, której rzeźba znajduje się w Wambierzycach), spisany przez mnicha Paschalisa w powieści *Dom dzienny, dom nocny*. U obojga autorów mamy do czynienia ze swobodnym wymieszaniem wątków historycznych z miejscowymi legendami i fikcją literacką. Oboje na przykład wykorzystują literacko nazwisko jednego z pierwszych właścicieli zamku w Ratnie von Pannwitz (u Tokarczuk pojawia się Wolfram von Pannewicz, niedoszły małżonek Wilgefotis).

U obojga projekt literacki poprzedzony został niewątpliwie dogłębnymi studiami nad dostępnymi materiałami dotyczącymi regionu. Wydaje się, że zainteresowanie pisarzy tymi samymi miejscami rozwijało się niezależnie. Można jednak odnieść także wrażenie, że doszło tutaj do niezamierzonego (?) współzawodnictwa o literacki temat. Lata wydania wspomnianych pozycji i ranga czytelniczego sukcesu rozstrzygają na korzyść Tokarczuk. To właśnie jej książka pretenduje do rangi „mitu fundacyjnego” regionu Ratno-Wambierzyce, którego to określenia użyła Elżbieta Rybicka w książce *Geopoetyka. Przestrzeń i miejsce we współczesnych teoriach i praktykach literackich* w odniesieniu do innego opowiadania pisarki i innego terenu *Bardo. Szopka* ze wspomnianego tomu.

Waniek w notce odautorskiej informuje, że jego powieść powstawała w latach 1992-2014, ale że już w latach 1984-1985 zaczął ją pisać jako scenariusz filmowy, zaś w roku 1998 pokazał ją Wiesławowi Myśliwskiemu i Marianowi Pilotowi. Autor *Johannesa Keplera* i wielu innych związanych ze śląskimi górami tekstów znalazł się w sytuacji, w której z ostrożnością obchodzić musi rejony zagospodarowane literacko przez Tokarczuk, będące przecież również przedmiotem jego fascynacji. Nie jest to zadanie łatwe. Wymaga swego rodzaju artystycznej ekwilibrystyki, czy rezygnacji z niektórych wątków, aby zwyczajnie nie być posądzonym o naśladownictwo.

Iwona Matuszkiewicz

Henryk Waniek, *Jak Johannes Kepler, jadąc do Żagania na Śląsku, zahaczył o Księżyc*, Canon Silesiae/ Ślōnskō Bibliōtyka, Stowarzyszenie Osób Narodowości Śląskiej – Silesia Progress, Kotōrz Mały 2015.